

OKLOKI

Dwie historie z życia mojej rodziny

Życie nie zawsze jest usłane różami. Czasem wychowujemy się pod skrzydłami kochających nas osób, z którymi nie wiążą nas więzy krwi. Tak jest w moim przypadku. Niestety nie poznałam mojej babci Wiesławy, mamy mojej mamy, która zmarła w młodym wieku zostawiając dziadka z dwójką dzieci: moją mamę i mojego wujka. Podobnie nie miałam okazji poznać mojego prawdziwego pradziadka Antoniego, ze względu na to, że moja prababcia wyszła ponownie za mąż. Za to do dzisiaj mam kontakt z moją babcią Małgorzatą i pradiadkiem Stanisławem, którzy opowiedzieli mi bardzo ciekawe historie ze swojego życia. Moja babcia Małgosia skończyła w tym roku tyle samo lat, ile miałyby moja babcia Wiesia – 64, natomiast mój pradziadek skończy w dniu 1 lipca 2023 r. 87 lat.

HISTORIA MOJEJ BABCI

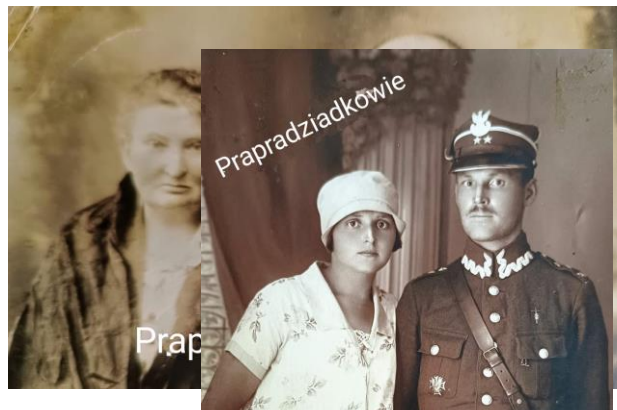
Był rok 1946. Rok wcześniej skończyła się wojna. Wilno, czyli rodzinne miasto moich praprapradziadków (Julii i Piotra Pac-Pomarnackich, Julii z domu Oskierko), prapradziadków (Heleny i Waleriana Jagiełowicz), prababci (Krystyny Jagiełowicz) i jej rodzeństwa, przestało należeć do Polski. Zostało włączone do Związku Radzieckiego. Ci, którzy chcieli nadal mieszkać w Polsce musieli wyruszyć w nieznaną. Ich celem były ziemie zachodnie, które do tej pory były zamieszkiwane przez Niemców. Mój prapradziadek (Walerian Jagiełowicz) i pradziadek (Janusz Jagiełowicz) byli na dalekim wschodzie Rosji, wywiezieni przez Rosjan do obozu pracy przeznaczonego dla polskich żołnierzy. Teraz powinniśmy wyobrazić sobie, jak czuła się starsza osoba dla mnie praprababcia, która musiała zostawić dobytek swojego życia i wyruszyć w tereny, gdzie nawet nie wiedziała co ją czeka. Pojechała ona z dwiema około dwudziestoletnimi córkami (Krystyną Moczydłowską, czyli mamą mojej babci i Reginal, ciocią mojej babci). Podróżowały one z krową i koniem. Jechały pociągiem towarowym, gdzie podróżowało kilka rodzin, a także człowiek chory psychicznie uważający się za Jezusa Chrystusa. Co jakiś czas głośno wzywał do siebie dwunastu apostołów. W osobnym wagonie jechały koń i krowa. Gdy pociąg się zatrzymywał, Krystyna i Regina wybiegały z niego i biegiły do pobliskiej miejscowości zdobyć paszę i pożywienie dla zwierząt. Było to bardzo niebezpieczne, ponieważ pociąg mógł odjechać w każdym momencie, a te dwie młode kobiety

zostałyby na całkowicie obcym terenie. Ludzie podróżujący jedli zapasy zabrane z domu, czyli głównie czerstwy chleb.

Kolejną sytuacją, jaką trzeba sobie wyobrazić, jest trwająca sześć tygodni podróż bez normalnego posiłku, który byłby w stanie nasycić nas i dodać nam potrzebnych związków odżywczych. Podróżni też nie mieli gdzie się wykąpać, ani załatwić swoich potrzeb fizjologicznych. Po jakimś czasie w podłodze w kącie wagonu wycięli dziurę. Nie było też jak się ogrzać. Jedyne co pozostawało im do zrobienia, to palenie w malutkim piecyku. Był wtedy luty.

Po sześciu tygodniach kobiety dowiedziały się, że w mijanych przez nie miastach nie było miejsc na osiedlenie się.

Tymi miastami były Gdańsk, Łódź i Wrocław. W takiej sytuacji nie pozostawało im nic innego, jak podróżować dalej. Po jakimś czasie dostały się do Legnicy, ponieważ ktoś wcześniej im powiedział, że to właśnie w niej były miejsca dla nowych osadników. Kiedy dojechały już na miejsce, kompletnie nie wiedziały, gdzie się schronić. Po pewnym czasie obcy im mężczyzna zaproponował, że pokaże im wolne mieszkania w zamian za sprzedaż konia za połowę jego wartości. Moja praprababcia czyli Helena Jagielowicz zgodziła się na taki układ, ponieważ były chore na biegunkę przez złe odżywianie i wyczerpane tak długą podróżą, i jedyne o czym marzyły, to odpoczynek. Mężczyzna dotrzymał obietnicy i zgodnie z umową zaprowadził je na ulicę Wrocławską 121 (dzisiaj znajduje się ona naprzeciwko cmentarza komunalnego). Było tu wolne mieszkanie na parterze, a tuż pod nim komórka, do której można było wprowadzić krowę. Wszystkie trzy kobiety przez kilka pierwszych dni głównie spały. Warto zaznaczyć, że spały w dzień, a nie w nocy, bo nocą grasowały tam bandy, żołdacy radzieccy, którzy kradli, gwałcili i mordowali. Jedną z rzeczy, które przynosiły im poczucie bezpieczeństwa była brama, którą na



noc zamykały na wielką, żelazną sztabę. Dzięki krowie mogły przetrwać trudny dla nich czas. Dawała im ona mleko, które przerabiała na ser, czy np. jogurty.

W tym samym budynku mieszkali Niemcy. Wszyscy żyli w zgodzie. Jedna Niemka dawała krowie obierki z warzyw, dzięki czemu otrzymywała kubek mleka. Po kilku miesiącach mieszkania w kamienicy, wrócił m. in. mój prapradziadek, czyli Walerian Jagiełowicz i jego syn Janusz Jagiełowicz. Obaj mężczyźni byli spuchnięci z głodu i tacy wycieńczeni, że moja praprababcia nie poznała swojego ukochanego męża i syna. Potem w miarę upływu czasu zaczęło brakować im miejsca, więc przenieśli się do większego mieszkania, ale nadal w tym samym budynku. Sprzedali krowę, która nie była im już potrzebna. Moja prababcia Krystyna podjęła pracę w Biurze Meldunkowym. Mój prapradziadek został kierownikiem PGR. Moja prababcia poznała swojego przyszłego męża. Wzięli ślub w kościele pw. Świętej Trójcy, a po jakimś czasie przyszli na świat moja babcia Małgosia i jej brat Jan. Moja babcia i jej brat byli pierwszym pokoleniem urodzonym w Legnicy.



HISTORIA MOJEGO PRADZIADKA

Mój pradziadek Stanisław Kozak mieszkał w województwie lwowskim w miejscowości Dołchomościska, niedaleko Sądowej Wiśni. Był najstarszy z rodzeństwa (4 braci i 2 siostry). Jego rodzicami byli Mikołaj Kozak i Maria z domu Sośnicka. Pamięta on bardzo dobrze, że jego rodzice mieli piękny sad o wielkości około 2 ha, w którym wszyscy zajadali się pysznymi owocami.

W lutym 1943 r., gdy pradziadek miał około 7 lat, nagle pewnej nocy nastąpił najazd niemieckich żołnierzy. Zajęli oni piękny sad, stawiając w nim swoje czołgi i samochody wojskowe, które chcieli ochronić przed nalotami. Zaraz za sadem znajdowała się niewielka szkoła, do której uczęszczały miejscowe dzieci. Niestety od lutego 1943 r. zabrano dzieciom szkołę i zorganizowano w niej miejscową jednostkę wojskową. Stacjonowało w niej ok. 300-400 niemieckich żołnierzy. Sad w tym czasie został całkowicie zniszczony. Nie było w nim już ani jabłek, ani gruszek, ani śliwek. Dzieci uczyły się w ukryciu z rodzicami w domach. Niemieccy żołnierze bardzo źle traktowali ludność zamieszkującą tamte tereny. Zabierali gospodarzom wszystko, co się dało, zwłaszcza jedzenie. Najczęściej pozostawiali jedną sztukę bydła, a resztę zabierali, to samo robili z jedzeniem wytworzonym trudną pracą tamtejszych rolników. Po jakimś czasie ludzie zaczęli ukrywać bydło w lesie. To samo robili z pozostałą żywnością, jaką wytworzyli. Rodzice mojego pradziadka starali się ukryć trochę żywności, by wyżywić całą rodzinę. Jednak pewnego dnia niemiecki żołnierz znalazł pół wiaderka ziemniaków i za to uderzył bronią ojca mojego pradziadka, uszkodzając mu lewe oko. W tamtym momencie dzieci leżące w łóżeczku zaczęły krzyczeć, a wściekły niemiecki żołnierz popchnął mojego pradziadka na garnek tak, że aż złamał mu nos. Choć minęło od tamtego czasu 80 lat, to pamięta to zdarzenie jak by to było wczoraj. W tym trudnym czasie piekli oni chleb z odpadków od młynarza np. otrębów i najczęściej jedli gotowane obierki ziemniaków, które znajdowali w śmietnikach. Czasem zdarzało się, że niemieccy żołnierze kroili ziemniaka na

cztery części i rzucali go dzieciom na ziemię jak jakimś zwierzętom. Jedli oni również zupę szczawiową i z pokrzywy.

Jesienią 1944 r. Niemcy nagle zaczęli się zbierać i w ciągu kilku godzin nie zostawili po sobie nic oprócz zniszczonego sadu i szkoły. Po ok. 2 godzinach pojawili się Rosjanie, którzy

tylko przejechali przez Dołchomościska i pogonili Niemców w stronę Berlina. Po 2 miesiącach od wyjazdu Niemców, dzieci mogły zacząć chodzić do szkoły. We wsi mieszkała ludność polsko-ukraińska. Żyli oni w zgodzie.

Ukraińcy często ostrzegali Polaków przed bandami, które mordowały ludzi i zabierały ich cenne rzeczy. Tak i też stało się w przypadku rodziny pradiadka. W lutym 1946 r. uciekli przed śmiercią. Wieczorem ostrzegł ich sąsiad – Ukraińiec, żeby schowali się na strychu, bo w nocy bandy znowu będą buszować po wsi. Schowali się więc na wcześniej

wspomnianym strychu, do którego nie prowadziły żadne schody. Wczesnie rano uciekli na dworzec kolejowy, gdzie 2 tygodnie czekali na pociąg przy ognisku. Wielu ludzi czekało razem z nimi. Wreszcie nadjechał pociąg towarowy, w którym czekali kolejne 2 tygodnie na odjazd. Wtedy nie wiedzieli oni jeszcze kiedy wyruszy. W jednym wagonie mieszkały dwie rodziny wraz z krowami i końmi. Gdy pociąg ruszył, przejechał kilka stacji i znów nie wiadomo było kiedy wyruszy w dalszą podróż. Z Sądowej Wiśni do Ścinawy jechali oni około 2,5 tygodnia.

Ojciec mojego pradiadka chodził po wsiach i szukał wolnych domów, by móc się osiedlić. Doszedł do Kłębanowic, gdzie mieszkało niemieckie małżeństwo, które straciło swoich dwóch synów, którzy zostali



Rodzice i rodzeństwo pradiadka



Mama pradiadka z rodziną



Dom w Kłębanowicach

zamordowani przez niemieckich żołnierzy przez to, że nie chcieli służyć w armii. Małżeństwo to bardzo pomogło rodzinie pradiadka, ponieważ po takiej podróży byli oni naprawdę bardzo zmęczeni i wycieńczeni. Po 3 miesiącach niemieckie małżeństwo wyjechało do Niemiec, zostawiając rodzicom pradiadka swoje gospodarstwo.

Ze względu na to, że w dzień nie zawsze był prąd, to w nocy młócili zboże, a z rana odwozili cały wóz zboża do GS Ruja. Niestety w 1950 r. miał miejsce straszliwy wypadek. Z wozu spadła mama pradiadka, gdyż przysnęła ze zmęczenia, ginąc na miejscu. Pradiadek miał wtedy 14 lat, a jego najmłodsza siostra 1,5 roku. W tym czasie mieli wiele zwierząt, np. kury, gęsi, indyki, kaczki, świnie, krowy czy nawet konie. Także wiele produktów rolnych trzeba było oddawać np. zboże czy ziemniaki. Pradiadek miał wiele odpowiedzialnych obowiązków. Musiał zaganiać z samego rana krowy na pastwisko, a potem szedł pieszo do szkoły.



Mama pradiadka
wraca z rynku w
Legnicy

Po wysłuchaniu tych historii mogę stwierdzić, że współcześnie wiele osób nie docenia tego, co ma. W dzisiejszych czasach ludzie skupiają się na rzeczach materialnych, nie myśląc nawet o tym, jakie to szczęście żyć w wolnym kraju, mieć rodzinę, być zdrowym, móc chodzić do szkoły, do kina czy mieć lodówkę pełną jedzenia. Wyobrażam sobie przez jakie straszne emocje przechodzili. Przodkowie mojej babci i mojego pradiadka musieli zostawić domy i gospodarstwa rolne, które były ich źródłem utrzymania. Tak samo trudno jest sobie wyobrazić jak czuły się osoby mieszkające przez wiele tygodni w wagonach towarowych z obcymi ludźmi i zwierzętami, nie mając pojęcia nawet kiedy to się skończy i czy dotrwią do spokojnego dnia, w którym będą mogli się wyspać i zjeść sycący posiłek, a nie resztki jedzenia jak dotąd. Bardzo jestem wdzięczna mojej babci i mojemu pradiadkowi za to, że zgodzili się oni, bym w mojej pracy mogła umieścić zdjęcia, na których została uwieczniona moja kochana rodzina.